

STEPHEN KING

CUJO





Pewnego razu, nie tak dawno temu, małe miasteczko Castle Rock w Maine nawiedził potwór. Zabił kelnerkę Almę Frechette w 1970; niejaką Pauline Toothaker i uczennicę szkoły średniej Cheryl Moody w 1971; Carol Dunbarger, ładną dziewczynę, w 1974; nauczycielkę Ettę Ringgold jesienią 1975 – i na koniec maturzystkę Mary Kate Hendrasen wczesną zimą tego samego roku.

Nie był wilkołakiem, wampirem, upiorem ani żadnym innym tajemniczym stworem z zaklętego lasu albo ze śnieżnych pustkowi; był zwyczajnym gliniarzem z problemami psychicznymi i seksualnymi i nazywał się Frank Dodd. Pewnemu zacnemu człowiekowi, Johnowi Smithowi, jakimś sposobem udało się ustalić jego nazwisko, ale zanim go ujęto, Frank Dodd – i może dobrze, że tak się stało – sam odebrał sobie życie.

Ten tragiczny finał wywołał, ma się rozumieć, pewien szok, ale miasteczko ogarnęła przede wszystkim radość, radość, że potwór, który nawiedzał sny tylu osób, nie żyje. Wraz z Frankiem Doddem pogrzebano miasteczkowe koszmary.

Jednak nawet w naszym oświeconym stuleciu, kiedy tak wielu rodziców uświadamia sobie, jak łatwo na całe życie okaleczyć psychikę dziecka, z pewnością znalazł się w Castle Rock jakiś rodzic lub babka, którzy przywoływali swe dzieci czy wnuki do porządku groźbą, że jeśli nie będą posłuszne, jeśli nie będą grzeczne, zabierze je Frank Dodd. I z pewnością zapadała wtedy martwa cisza, a dzieci spoglądały lękliwie w ciemne okna i wyobrażały sobie za nimi Franka Dodda w lśniącej czarnej winylowej pelerynie, Franka Dodda, który dusi... i dusi... i dusi.

„On tam jest – słyszę już szept babki, a wiatr zawodzi w kominie i węszy wokół pokrywki starego garnka na piecu. – On tam jest, i jak nie będziecie grzeczne, to kto wie, czy nie zobaczycie jego twarzy zaglądającej przez okno waszej sypialni, kiedy wszyscy w domu, oprócz was, będą już spali; kto wie, czy nie zobaczycie, jak uśmiechnięty, z lizakiem, którym zatrzymywał samochody, żeby przeprowadzić małe dzieci przez jezdnię, w jednej ręce i z brzytwą, którą odebrał sobie życie, w drugiej, wygląda na was w środku nocy ze ściennej szafy... a więc sza, dzieci... sza... sza...”

Ale dla większości mieszkańców miasteczka sprawa była zamknięta, i kropka. Niewątpliwie ten i ów nadal miewał koszmarny sny, niewątpliwie zdarzało się i teraz, że to czy inne dziecko nie mogło zmrzyć w nocy oka, a opuszczony dom Dodda (bo jego matka zmarła wkrótce po nim na zawał serca) szybko zyskał sobie reputację nawiedzonego i zaczęto omijać go z dala; były to jednak zjawiska przejściowe – nieuniknione efekty uboczne serii bezsensownych morderstw.

Mijał czas. Upłynęło pięć lat.

Potwora nie było, potwór nie żył. Frank Dodd dawno zginął w trumnie.

Tylko że potwory nigdy nie umierają. Czy będzie to wilkołak, czy wampir, czy upiór, czy tajemniczy stwór z pustkowi. Potwory nie umierają.

I potwór nawiedził Castle Rock znowu wiosną 1980 roku.

• • •

W maju tego roku czteroletniego Tada Trentona obudziła pewnej nocy, zaraz po dwunastej, potrzeba udania się do łazienki. Wstał z łóżka i ściągając po drodze spodenki od piżamy, poczłapał zaspą w kierunku białego światła wlewającego się klinem przez uchylone drzwi. Wysusiał się za wszystkie czasy, spuścił wodę i wrócił do łóżka. Przykrywał się właśnie kocem, kiedy nagle zauważył tego stwora w ściennej szafie.

Warował tuż przy podłodze, ogromne barki sterczały mu nad przekrzywionym łbem, a jego ślepia przypominały jarzące się bursztynowe dziury – coś jakby pół człowiek, pół wilk. Ślepia poruszyły się, śledząc Tada, który ze stającymi dęba włosami, z nieprzyjemnym uczuciem mrowienia w kroczu, oddychając z poświstem przez ściśnięte gardło, usiadł powoli na łóżku; obłąkane ślepia, które się śmiały, ślepia obiecujące straszną śmierć przy wtórce wrzasków, których nikt nie usłyszy.

Tad Trenton słyszał bulgotliwy warkot stwora; czuł jego zalatujący zgnilizną oddech.

Zakrył rączkami oczy, spazmatycznym haustem wciągnął powietrze w płuca i krzyknął.

Stłumiony okrzyk w sąsiednim pokoju. Ojciec.

Przestraszone: „Co to było?” – z tego samego pokoju. Matka.

Tupot nadbiegających stóp. Kiedy wpadali do pokoju, Tad odważył się zerknąć przez paluszki i zobaczył go tam, w szafie, war-

czącego, odgrazającego się, że owszem, przyszli, ale na pewno sobie pójdą, a wtedy...

Zapaliło się światło. Vic i Donna Trentonowie podeszli do łóżka i wymienili nad kredowobiałą twarzyczką i wytrzeszczonymi oczami synka zaniepokojone spojrzenia.

– A mówiłam, że trzy hot dogi to za dużo, Vic! – powiedziała... nie, wyrzuciła z siebie matka.

A wtedy tatuś przysiadł na łóżku i otaczając Tada ramieniem, zapytał, co się stało.

Chłopiec odważył się spojrzeć znowu w paszczę swojej szafy.

Potwora nie było. Zamiast jakiejś wygłodniałej bestii, którą przed chwilą widział, zobaczył tylko dwie kupki niedbale rzuconych ciepłych koców z zimowej zmiany, których Donna nie zdążyła jeszcze wynieść na strych. Leżały na krześle, na którym zwykł stawać Tad, kiedy potrzebował czegoś z najwyższej półki szafy. Zamiast kudłatego, trójkątnego łba przekrzywionego na bok w jakimś drapieżnym, taksującym skłonie na wyższej z dwóch kupek ujrzał swojego pluszowego misia. Zamiast przepastnych, złowrogich bursztynowych ślepi patrzyły na Tada przyjazne brązowe szklane paciorki, którymi obserwował świat jego miś.

– Co się stało, Tadder? – spytał znowu tatuś.

– Tam był potwór! – krzyknął Tad. – W mojej szafie! – I wybuchnął płaczem.

Teraz na łóżku usiadła także mamusia; rodzice zaczęli tulić go między sobą i uspokajać, jak umieli. Zapewniali go, że żadnych potworów nie ma; że to był tylko zły sen. Mamusia wyjaśniła, że często cienie potrafią wyglądać jak złe stwory, które czasami ogląda się w telewizji albo w komiksach, a tatuś powiedział, że wszystko jest w porządku, wszystko dobrze, że w ich miłym domku nic nie

może wyrządzić mu krzywdy. Tad kiwał głową i przyznawał, że tak właśnie musiało być, chociaż wiedział, że tak nie było.

Ojciec wytłumaczył mu jeszcze, że w ciemności dwie nierówne kupki koców mogły wyglądać jak przygarbione ramiona, pluszowy miś jak przekrzywiony łeb i że światło padające z łazienki, odbijając się w szklanych oczkach misia, nadawało im wygląd ślepi prawdziwego, żywego zwierzęcia.

– Teraz patrz – zakończył tatuś. – Obserwuj uważnie, Tadder.

Tad obserwował.

Ojciec wziął dwie kupki koców i wszedł z nimi do ściennej szafy. Tad słyszał dobiegający stamtąd cichy stukot potrącanych wieszaków na ubrania opowiadających w swoim wieszakowym języku o tym, co robi tatuś. To było zabawne i chłopczyk uśmiechnął się. Mamusia zauważyła to i również się uśmiechnęła. Z ulgą.

Tatuś wyszedł z szafy, wziął pluszowego misia i włożył go w objęcia Tada.

– I ostatnia, co wcale nie znaczy, że najmniej ważna sprawa – powiedział, wykonując zamaszysty gest ręką i kłaniając się nisko, co tak spodobało się Tadowi i mamusi, że oboje zachichotali. – Krzesło.

Zamknął mocno drzwi szafy i przystawił do nich krzesło. Wróciwszy do łóżka Tada, nadal się uśmiechał, ale oczy miał poważne.

– W porządku, Tad?

– Tak – odrzekł chłopiec, po czym przewyciężając wstyd, wyrzucił z siebie: – Ale to tam było, tatusiu. Widziałem. Naprawdę.

– Wydawało ci się tylko, że coś widzisz – odparł tatuś i wielką ciepłą dłonią pogłaskał Tada po włosach. – W twojej szafie nie było żadnego potwora. Potworów nie ma, synku. Istnieją tylko w bajkach i w twojej wyobraźni.

Tad przeniósł wzrok z ojca na matkę i z powrotem, szukając potwierdzenia w ich dużych kochanych twarzach.

– Naprawdę?

– Naprawdę – zapewniła mamusia. – A teraz wstań i idź zrobić siusiu, kolego.

– Już robiłem. Właśnie dlatego się obudziłem.

– Dobrze, dobrze – powiedziała, bo rodzice nigdy nie wierzą dzieciom. – W takim razie zrób to dla mnie jeszcze raz, zgoda?

Rad nierad poszedł znów do łazienki.

– No i widzisz? – zauważyła z uśmiechem mama, patrząc, jak wyciska z siebie cztery mizerne kropelki. – Coś tam jednak było.

Tad pokiwał zrezygnowany głową. Wrócił do łóżka. Opatulono go troskliwie i pożegnano całuskami.

Ale kiedy matka z ojcem ruszyli w kierunku drzwi, strach spowił Tada znowu niczym zimna błona pełna mgły. Niczym całun cuchnący nieuniknioną śmiercią. Oj, proszę, pomyślał – ale do głowy nie przychodziło mu nic więcej, tylko to: Oj proszę oj proszę oj proszę...

Ojciec, zupełnie jakby odebrał jego błagalną myśl, odwrócił się w progu i z ręką na wyłączniku światła powtórzył:

– Potworów nie ma, Tad.

– Tak, tatusiu – bąknął chłopiec, bo w tym momencie oczy ojca wydały mu się jakieś zatroskane, jakby tata sam nie był do końca przekonany i chciał, żeby ktoś go w tym utwierdził. – Potworów nie ma. – Nie licząc tego w mojej szafie, dodał w myślach.

Światło zgasło.

– Dobranoc, Tad – doleciał go ciepły, pieszczotliwy szept mamy i chłopiec wrzasnął w duchu: Uważaj, mamusiu, one zjadają panie! Na wszystkich filmach łapią panie, wynoszą je gdzieś i zjadają! Oj proszę oj proszę oj proszę...

Ale rodzice wyszli.

Czteroletni Tad Trenton leżał w swoim łóżku sparaliżowany strachem. Leżał przykryty kocem po samą brodę, tuląc do piersi pluszowego misia, a ze ściany spoglądał na niego Luke Skywalker; z drugiej ściany uśmiechała się szelmowsko wiewiórka stojąca na mikserze (JEŚLI ŻYCIE OBDARZA CIĘ CYTRYNAMI, RÓB CYTRONETĘ! – radziło pucołowate, uśmiechnięte zwierzątko); trzecią ścianę okupowała pstra kompania z *Ulicy Sezamkowej*: Wielki Ptak, Bert, Ernie, Oscar, Grover. Dobre totemy, dobra magia. Tylko to straszne zawodzenie wiatru, który ślizga się po czarnych rynnach na dachu! Tad nie uśnie już tej nocy.

Ale po pewnym czasie paraliż zaczął stopniowo ustępować, a napięte mięśnie rozluźniły się. Tad powoli odpływał w sen...

I naraz nowy dźwięk, bliższy niż zawodzenie nocnego wiatru za oknem, wyrwał go gwałtownie z półsnu i kazał szeroko otworzyć oczy.

Zawiasy ściennej szafy.

Krrriiiiiiii...

Cichutki skrzyp, tak wysoki, że słyszalny chyba tylko dla psów i małych chłopców, którzy nie śpią w nocy. Drzwi szafy otwierały się powoli i nieubłagane; martwa paszcza rozdziawiająca się centymetr po centymetrze, a w niej ciemność.

W tej ciemności zaś czał się potwór. Warował w tym samym miejscu co wcześniej. Uśmiechał się do Tada, ogromne barki sterczały mu nad przekrzywionym łbem, a ślepie, ożywiane szyderczą przebiegłością, jarzyły się bursztynem. *No i widzisz, Tad? – wyszeptał. – Mówiłem ci, że sobie pójdą. Zawsze w końcu odchodzą. A wtedy ja mogę wrócić. Lubię wracać i lubię ciebie, Tad. Od tej pory będę chyba wracał co noc i za każdym razem podejść trochę bliżej twojego łóżka... i jeszcze trochę bliżej... aż którejś nocy usłyszysz warczenie, czyjeś warczenie tuż obok, Tad, i to będę ja, i zanim zdążysz ich zawołać, rzucę się na ciebie, a potem pożrę, i znajdziesz się we mnie.*

Tad wpatrywał się w stwora ze swojej szafy z hipnotyczną, trwożną fascynacją. Było w nim coś... coś mgliście znajomego. Coś, co jakby znał. I to było właśnie najgorsze: jakby znał, ale nie wiedział skąd. Bo...

Bo ja jestem szalony, Tad. Jestem tutaj. Byłem tu cały czas. Kiedyś nazywałem się Frank Dodd i zabijałem panie, i może je potem zjadalem. Byłem tu przez cały czas, kręciłem się w okolicy, przykładalem ucho do ziemi. Jestem potworem, Tad, starym potworem, i będę cię wkrótce miał. Będziesz czuł, jak się zbliżam... zbliżam...

Stwór z szafy przemawiał być może własnym, świszczącym oddechem Tada, a może jego głosem było zawroźnienie wiatru za oknem. Zresztą wszystko jedno. Chłopiec słuchał słów stwora sparaliżowany przerażeniem, bliski omdlenia (jednak zupełnie wybity ze snu); patrzył na ten skryty w mroku warczący pysk, który jakby znał. Nie zaśnie już tej nocy – może już nigdy nie zaśnie.

Ale gdzieś między wpół do pierwszej a pierwszą w nocy Tad znowu odpłynął w sen. Płytki sen, w którym ściagały go niezdarne futrzaste stwory z białymi zębiskami.

Wiatr podtrzymywał długą konwersację z rynnami. Sierp białego wiosennego księżyca piał się po niebie. Gdzieś w oddali, na jakiejś nieruchomej, pogrążonej w mrokach nocy polanie albo na biegnącym między sosnami leśnym dukcie, zaszczeakał wściekle pies i znowu zapadła cisza.

A w ściennej szafie Tada Trentona czuwało coś o bursztynowych ślepiach.

• • •

– To ty przełożyłeś z powrotem te koce? – spytała Donna męża następnego ranka. Stała przy kuchence i smażyła bekon. Tad sie-

dział w drugim pokoju przed telewizorem i oglądał *The New Zoo Revue*, zajadając Błyskotki z trzymanej na kolanach miseczki. Pod handlową nazwą Błyskotki kryły się chrupki firmy Sharp, a chrupki Sharpa Trentonowie dostawali za darmo.

– Hmmm? – mruknął pytająco Vic Trenton, zatopiony w lekturze działu sportowego gazety. Był przeflancowanym nowojorczykiem i jak dotąd z powodzeniem opierał się pokusie kibicowania drużynie Red Sox. Ale fakt, że Metsi rozpoczynają kolejny sezon kłęską, sprawiał mu masochistyczną przyjemność.

– Koce. Te z szafy Tada. Znowu tam leżały. Krzesło też tam stało, a drzwi znowu były otwarte. – Donna podeszła do stołu ze skwierczącym jeszcze bekonem na patelni. – To ty położyłeś te koce z powrotem na krześle?

– Nie – mruknął Vic, przewracając stronę gazety. – Śmierdzi tam naftaliną, jak na zjeździe kulek na mole.

– Dziwne. Widocznie Tad sam musiał je przełożyć.

Vic odłożył gazetę i spojrzał na żonę.

– O czym ty mówisz, Donno?

– Pamiętasz jego zły sen wczoraj w nocy...?

– Jakże mógłbym zapomnieć? Myślałem, że dzieciak umiera. Trzęsło nim jak w konwulsjach.

Pokiwała głową.

– Przywidziało mu się, że koce są jakimś... – Wzruszyła ramionami.

– ...straszydłem – dokończył za nią Vic i uśmiechnął się.

– Chyba tak. Dałeś mu pluszowego misia, a koce włożyłeś do szafy, ale kiedy dzisiaj słałam mu łóżko, one znowu leżały na krześle. – Roześmiała się. – Zajrzałam do środka i przez moment wydawało mi się...

– Teraz już wiem, po kim on to ma – mruknął Vic, sięgając znowu po gazetę. Przechylił przy tym głowę i mrugnął do żony wesoło. – Trzy hot dogi, jasny gwint.

Kiedy Vic odjechał już do pracy, Donna spytała Tada, dlaczego położył koce z powrotem na krześle, skoro w nocy tak go przestraszyły.

Chłopiec spojrział na nią i jego zazwyczaj pełna życia, wesoła buzia jakby pobladła i przybrała wyraz czujności, jakby się postarzała. Przed nim leżała otwarta książeczka do kolorowania – *Gwiezdne wojny*. Zieloną kredką świecową kolorował właśnie Greedo w kosmicznej karczmie.

– To nie ja – mruknął.

– Ależ, Tad, jeśli to nie ty ani nie tatuś, ani nie ja...

– Potwór to zrobił – wpadł jej w słowo Tad. – Potwór z mojej szafy.

Pochylił się znowu nad rysunkiem.

Donna patrzyła na synka zaniepokojona i trochę przestraszona. Był inteligentnym chłopcem, może o trochę za bardzo wybujałej wyobraźni. To nie był dobry objaw. Wieczorem będzie musiała porozmawiać o tym z Vikiem. Będą musieli o tym poważnie porozmawiać.

– Tad, pamiętasz, co powiedział ojciec? – spytała. – Nie ma czegoś takiego jak potwory.

– W dzień może i nie ma – odparł i uśmiechnął się do niej tak rozbijając i szczerze, że cały jej niepokój przysł. Poczochnała go po włosach i pocałowała w policzek.

Chciała mimo wszystko porozmawiać z Vikiem, ale kiedy Tad był w ogródku zabaw dla dzieci, przyszedł Steve Kemp i zapomniała, a chłopiec tej nocy również zaczął krzyczeć. Krzyczał, że to jest w jego szafie, potwór, potwór!

Drzwi szafy były uchylone, koce leżały na krześle. Tym razem Vic wyniósł je na strych i włożył do stojącej tam skrzyni.

– Zamknąłem go tam, Tadder – powiedział, całując synka. – Załatwione. Teraz śpij i niech ci się przyśni coś miłego.

Ale Tad przez długi czas nie mógł zmrzyć oka, a kiedy powieki zaczęły mu wreszcie opadać, drzwi ściennej szafy uwolniły się z cichym szyderczym szcękaniem od blokującej je zapadki i śmiertelna paszcza rozwarła się, odsłaniając śmiertelny mrok – śmiertelny mrok, w którym czało się coś futrzastego o ostrych zębach i pazurach, coś, co cuchnęło zepsutą krwią i mrocznym przeznaczeniem.

Cześć, Tad – wyszeptało to coś swoim wstrętnym głosem, a w okno zajrzał księżyc przypominający przecięte oko trupa.

• • •

Najstarszą żyjącą osobą w Castle Rock była tej późnej wiosny Evelyn Chalmers, zwana przez starszych mieszkańców miasteczka Ciotką Evvie, a „tym starym krzykliwym babskiem” przez George’a Mearę, który dostarczał jej pocztę – składającą się głównie z katalogów i ofert z „Reader’s Digest” oraz z broszur Krucjaty Wiecznego Chrystusa zawierających modlitwy – i przy okazji wysłuchiwał jej niekończących się monologów. „Jedyne, do czego nadaje się to stare krzykliwe babsko, to przepowiadanie pogody” – zwykł mawiać George, kiedy był już po paru głębszych i siedział w kompanii swoich koleżków w Potulnym Tygrysie. Jak na bar, była to nazwa zupełnie idiotyczna, ale ponieważ Castle Rock mogło się poszczycić tylko tym jednym lokalem, mieszkańcy chyba w końcu do niej przywykli.

Opinia George’a była powszechnie podzielana. Od dwóch lat, czyli od dnia, kiedy Arnold Heebert, który miał sto jeden lat i sklerozę tak zaawansowaną, że rozmowa z nim pod względem intelek-

tualnego wyzwania przypominała gadanie do puszek po pokarmie dla kotów, dokładnie dwadzieścia pięć minut po sfajdaniu się po raz ostatni w spodnie zleciał z werandy na tyłach domu starców w Castle Acres i skrzył sobie kark, Ciotka Evvie, jako najstarsza mieszkanka Castle Rock, była właścicielką przechodniej laski „Boston Post”.

Nie była jednak nawet w przybliżeniu tak stetryczna jak Arnie Heebert i nawet w przybliżeniu tak sędziwa, chociaż licząc sobie dziewięćdziesiąt trzy lata, nie należała już do najmłodszych. I pomimo że z upodobaniem wydzieriała się do zrezygnowanego (i często skacowanego) George’a Meary, kiedy ten przynosił jej pocztę, nie zgłupiała jeszcze na tyle, żeby stracić swój dom w ten sam sposób, co stary Heebert.

Miała rzeczywiście dar przepowiadania pogody. W miasteczku – wśród starszych ludzi, którzy przykładali wagę do takich rzeczy – krążyła zgodna opinia, że Ciotka Evvie nie myli się nigdy w trzech sprawach: na który tydzień lata wypadnie początek żniw, czy obrodzą (względnie nie obrodzą) borówki i jaka będzie pogoda.

Pewnego dnia na początku czerwca tego roku wyszła z domu, paląc herberta tareytona i wspierając się ciężko na swojej lasce od „Boston Post” (która przejdzie na Vina Marchanta, kiedy to wrzaskliwe stare babsko wykorkuje – mówił sobie George Meara – i krzyżyk ci na drogę, Evvie), podreptała do skrzynki pocztowej ustawionej na końcu podjazdu. Powitała gromkim głosem Mearę – własna głuchota najwyraźniej wzbudzała w niej przekonanie, że ze współczucia wszyscy inni również ogłuchli – a potem wrzasnęła, że będą mieli najgorętsze lato od trzydziestu lat. Gorący początek i gorący koniec, darła się Evvie co sił w płucach w sennej przedpołudniowej ciszy. I gorący środek.

– Naprawdę? – burknął George.

– Co?

– Pytałem, czy naprawdę! – To też miała do siebie Ciotka Evvie: prowokowała rozmówcę, żeby wrzeszczał jak ona. Można było sobie zedrzyć struny głosowe.

– Pocałuję świnię w ryj i jeszcze się będę uśmiechać, jak nic! – krzyknęła. Popiół z jej papierosa posypał się George'owi Mearze na rękaw bluzy od munduru, który dopiero co odebrał z pralni chemicznej i dziś rano po raz pierwszy włożył; strzepnął go z rezygnacją. Ciotka Evvie nachyliła się do okna jego samochodu, żeby wrzeszczeć mu w same ucho. Jej oddech zalatywał kiszonymi ogórkami. – Wszystkie polne myszy powyłaziły z nor! Tommy Neadeau widział przy Moosuntic Pond jelenia ścierającego rogi, tam gdzie pokazał się pierwszy dzięcioł! Jak stopniał śnieg, to była pod nim trawa! Zielona trawa, Meara!

– Naprawdę, Evvie? – mruknął George, bo trzeba było coś odpowiedzieć. Zaczynała go boleć głowa.

– Co?

– NAPRAWDĘ, CIOTKO EVVIE?! – ryknął George Meara. Ślina trysnęła mu z ust.

– A tak, tak! – odwrzasnęła ukontentowana Ciotka Evvie. – A wczoraj w nocy widziałam, jak błysnęło na zmianę pogody! Zły znak, Meara! Zły znak, kiedy wcześniej robi się upał! Tego lata ludzie będą padać z gorąca! Słońce będzie złe!

– Muszę już jechać, Ciotko Evvie! – huknął George. – Mam specjalną przesyłkę dla Stringera Beaulieu!

Evvie Chalmers odrzuciła w tył głowę i zarechotała w wiosenne niebo. Rechotała tak, że o mało się nie zadławiła, a na przód jej podomki posypały się strzępki papierosowego popiołu. Wypłuła niedopałek z ust. Upadł na drogę i dymił obok jednego z jej staro-

modnych trzewików – trzewików czarnych jak smoła i ciasnych jak gorset; trzewików na wieki.

– Masz specjalną przesyłkę dla Frenchy’ego Beaulieu? Toć on nie przesylabizowałby nazwiska na własnym nagrobku!

– Muszę już jechać, Ciotko Evvie! – krzyknął pośpiesznie George i wrzucił bieg.

– Frenchy Beaulieu to największy jełop, jakiego Pan Bóg stworzył! – darła się Ciotka Evvie, ale teraz darła się już do tumanu kurzu, jaki pozostał po George’u Mearze; udało mu się zwać.

Stała jeszcze z minutę przy swojej skrzynce pocztowej, odprowadzając Mearę wzrokiem. Nie było do niej żadnej korespondencji osobistej; ostatnio rzadko taka przychodziła. Większość z jej znajomych, którzy potrafili pisać, już nie żyła. Podejrzała, że wkrótce do nich dołączy. Miała złe przeczucie w związku z nadchodzącym latem, przeczucie napawające lękiem. Paplała o myszach opuszczających wcześniej swoje norki, o błyskawicach na wiosennym niebie, nie wspomniała jednak ani słówkiem o gorączce, którą wyczuwała tuż za horyzontem, przyczajoną tam niczym chude, lecz potężne zwierzę o wyleniającej sierści i czerwonych, gorejących ślepiach; nie powiedziała o swych rozpalonych, bezcienistych, spragnionych snach; nie powiedziała o porankach, podczas których do oczu bez żadnego powodu napływają łzy – łzy, które zamiast przynosić ulgę, pieką jak pot. W wietrze, który nie nadlatywał, węszyła obłąd.

– George’u Meara, ty dupku żołądny – mruknęła, kładąc akcent na ostatnie dwa słowa.

Począpiała z powrotem do domu, wspierając się na swej lasce od „Boston Post”, którą wręczono jej na specjalnej uroczystości w ratuszu tylko za to, że dokonała bezsensownego wyczynu pomyślnego zestarzenia się. Nie dziwota, pomyślała, że tę cholerną gazetę diabli wzięli.

Zatrzymała się na ganku i spojrzała w niebo, które wciąż miało wiosenną, pastelową barwę. Ale ona wyczuwała, że to nadciąga: coś gorącego, coś plugawego.

• • •

Przed rokiem, kiedy stary jaguar Vica Trentona nabawił się denerwującego klekotania gdzieś we wnętrzu tylnego lewego koła, właśnie George Meara poradził Vicowi, żeby odstawił wóz do znajdującego się na przedmieściach Castle Rock warsztatu Joego Cambera.

– Facet ma dosyć nietypowe podejście do klienta – powiedział Vicowi stojącemu przy swojej skrzynce na listy. – Określa z góry, ile będzie kosztować robota, załatwia ją, a potem liczy sobie za nią tyle, ile chciał na początku. Ciekawy sposób na robienie interesu, nie? – I z tymi słowami odjechał, pozostawiając Vica w niepewności, czy mówił poważnie, czy też powiedział właśnie jakiś zawołowany jankeski dowcip.

Vic zadzwonił jednak do Cambera i pewnego dnia, jeszcze w czerwcu (o wiele chłodniejszym od tego, który miał przyjąć za rok), wybrali się tam wraz z Donną i Tadem. Było naprawdę daleko; Vic musiał się dwa razy zatrzymywać, żeby spytać o drogę, i od tamtego czasu nazywał te najdalsze peryferia miasteczka Wschodnim Zadupiem.

Kiedy wjeżdżał na podwórko Cambera, tylne koło klekotało głośniej niż kiedykolwiek. Tad, który miał wtedy trzy latka, siedział na kolanach u Donny i śmiał się głośno; jazda tatusiowym „bezdachowcem” zawsze wprawiała go w dobry humor, a i Donna była w wyśmienitym nastroju.

Na podwórku stał ośmio- czy może dziewięcioletni chłopiec i uderzał starą piłkę baseballową jeszcze starszym kijem basebal-

lowym. Piłka szybowała w powietrzu i odbijała się o ścianę stodoły, w której zapewne, przemknęło przez myśl Vicowi, mieścił się warsztat Cambera.

– Cześć – powiedział chłopiec. – To pan nazywa się Trenton?

– Tak, ja – potwierdził Vic.

– Zawołam tatę – rzucił chłopiec i wszedł do stodoły.

Trójka Trentonów wysiadła z samochodu. Vic zaszedł jaguara od tyłu i przykucnął przy felernym kole. Czuł się trochę zbity z tropu. Może mimo wszystko należało oddać wóz do naprawy w Portlandzie? Ten warsztat nie prezentował się obiecująco; Camber nie miał nawet wywieszonego szyldu.

Medytacje Vica przerwała Donna, najpierw wołając go nerwowo po imieniu, a potem krzycząc: „O Boże, Vic!”.

Podniósł się szybko i ujrzał ogromnego psa wyłaniającego się ze stodoły. Przez moment miał absurdalne wątpliwości, czy to rzeczywiście pies, czy też może jakiś rzadki i brzydki rodzaj kucyka. Jednak kiedy zwierzę wyszło powoli z cienia zalegającego w wejściu do stodoły, zobaczył jego smutne oczy i rozpoznał bernardyna.

Donna odruchowo porwała Tada na ręce i cofnęła się, opierając o maskę jaguara, ale chłopiec zaczął się wiercić niecierpliwie w jej objęciach, domagając się postawienia z powrotem na ziemi.

– Chcę zobaczyć pieska, mamusiu... chcę zobaczyć pieska!

Donna rzuciła nerwowe spojrzenie Vicowi, również mocno zaniepokojonemu. I wtedy wrócił chłopiec. Podchodząc do Vica, minął psa i poczochnął go w przelocie po łbie. Pies zawachlował ospale imponującym ogonem i Tad zdwoił swe wysiłki, by wydość się z ramion matki.

– Może go pani puścić – powiedział chłopiec. – Cujo lubi dzieci. Nic mu nie zrobi. – I zwracając się do Vica, oznajmił: – Tata już idzie. Umyje tylko ręce.